

# Las to... zakład

W drugiej połowie maja świeżo połączeni więzami małżeńskimi postanowiliśmy udać się w tzw. podróż poślubną do miejsca dla nas niezwykłego, niemalże „magicznego” pod względem przyrodniczym i kulturowym – Puszczy Białowieskiej. Nie przypuszczaliśmy, jakich przygód dostarczy nam ten wyjazd...

Przez okres pobytu piękna pogoda pozwalała nasycić się widokiem wiosny w Puszczy, jedynie od czasu do czasu strasząc gwałtownymi burzami, które już kiedyś spowodowały, że nasze nogi były jak z waty podczas pobytu w lesie. Podążaliśmy ulubionymi ścieżkami: nad Narewką, doliną Orłówki, Objazdową drogą, czasem zatrzymując się na dłużej przed bramą parku, by poczekać na żerujące błotniaki łąkowe i orliki krzykliwe.



Fot. Wojciech Lewandowski

Uznaliśmy, że przecież „nie samym Parkiem Puszcza stoi”. Nie wolno nam więc zaniedbać odwiedzenia także tych części, gdzie choć gospodarka leśna daje o sobie znać, to wciąż moc i specyficzna historia Puszczy są widoczne np. w postaci kolosalnych dębów, przepięknych grądów, żubrów i żerujących dzięciołów białogrzbietych (choć tych ostatnich poza parkiem coraz mniej).

Pewnego dnia postanowiliśmy powędrować pętlą od Bud, kierując się najpierw na zachód, potem północ, itd., wracając z powrotem do miejsca rozpoczęcia wycieczki. Najpierw odwiedziliśmy jeszcze mały, ale przyzwoicie wykonany skansen w Budach, gdzie od czasu do czasu można także posłuchać dobrej muzyki. Potem mokrymi jeszcze od porannej rosy łąkami powędrowaliśmy do drogi Budy - droga Hajnówka-Białowieża, by już z niej odbić w drogę leśną. Pokonując przepiękne, wypełnione wodą z ulewnych deszczów olsy, dotarliśmy w końcu do doliny Łutowni, gdzie po prostu zachwylił nas widok szeroko płynącej rzeki, której bieg został zmodyfikowany przez działalność bobrów. Nagle ni stąd ni zowąd, sto metrów przed nami pojawił się pan ubrany na zielono, z dziarsko przewieszoną przez ramię strzelbą i począł zmierzać w naszym kierunku. Zwykle „dzień dobry” i nasz gość szybko przeszedł do konkretów:

- Dlaczego pies nie na smyczy, proszę się wylegitymować.
- Dlaczego mielibyśmy się panu wylegitymować, proszę się samemu wylegitymować.
- (wyjmując „legitymację” myśliwego) O, widzę, że bez straży leśnej się nie obejdzie...

Pokazaliśmy dowód i pan myśliwy stwierdził, że w takim razie możemy sobie iść, tylko on jeszcze przez polanę przejdzie pierwszy, bo w razie czego, gdyby zwierz łowny na polanie był, to trza go przecież pier...

Zwierza łownego jednak na polanie nie było i po kilkuset metrach byliśmy już na drodze leśnej, ale co ciekawe - asfaltowej. Dotarliśmy do mostu, u podnóża którego bobry zbudowały tamę, aby podpiętrzyć powyżej niej wodę, traktując most jako naturalne zwężenie i ujście płaskiej doliny Łutowni. Chcieliśmy dokładnie przyjrzeć się sytuacji, bo okazało się, iż nasyp drogi tuż przy moście obsunął się, stwarzając niebezpieczeństwo jego uszkodzenia w przyszłości. W trakcie tej czynności minął nas maluch, w środku dwóch panów. Ot, pomyśleliśmy, ludzie z Bud jeżdżą tędy między wioskami, droga już przez las asfaltowa... szkoda.

Nie mieliśmy jednak już filmu w aparacie fotograficznym, więc uznaliśmy, że musimy wrócić następnego dnia, by wykonać zdjęcia. Mając na ten dzień inne plany, postanowiliśmy niejako po drodze, podjechać samochodem nad most, zrobić zdjęcia i jechać dalej. Dojeżdżając do mostu zobaczyliśmy, iż zaparkowany jest na nim ten sam maluch, którego widzieliśmy poprzedniego dnia, natomiast jakiś człowiek w zielonym mundurze stoi na bobrowej tamie. Gdy zbliżyliśmy się na około sto metrów, osobnik ów pospieszenie otrzepał buty i wszedł do samochodu. Zatrzymaliśmy się na moście, wyszliśmy z auta. Tama bobrowa miała wyraźne uszczerbki w konstrukcji, przelewało się przez nią znacznie więcej wody niż poprzedniego dnia. Wniosek był jeden – człowiek, który przed chwilą odjechał, musi mieć z tym coś wspólnego. Rozpoczęliśmy „pogoń”. Po przejechaniu kilku kilometrów drogami leśnymi uznaliśmy, że chyba nic z tego nie będzie i należy wracać.

W zamieszaniu nie zrobiliśmy zdjęć, więc jeszcze raz zatrzymaliśmy się na moście. Po kilkunastu minutach na horyzoncie pojawił się poszukiwany maluch, wracający tą samą drogą. Dojeżdżając na most próbował nas ominąć, ale gdy zastąpiliśmy drogę, był zmuszony do zatrzymania samochodu.

Zapytaliśmy:

- Czy pan wie, iż na rozbiórkę tam bobrowych wymagana jest zgoda WKP?
- (wrzaskiem) Czy pani mnie oskarża? A co pani widziała?

Nagle się zorientował:

- Do lasu nie wolno wjeżdżać samochodem, to droga leśna! Rzeczywiście, asfalt nas zmylił, byliśmy na zwykłej drodze leśnej, jakich w Polsce tysiące kilometrów, tyle że asfaltowej (w Puszczy Białowieskiej).
- A przed chwilą pan odjechał w las, potem chciał nas ominąć i nie wspomniał pan, że do lasu nie wolno wjeżdżać samochodem, a poza tym co pan robił nad tą tamą?
- Do lasu nie wolno wjeżdżać, dzwonię po straż leśną, proszę się wylegitymować!
- Dobrze, niech pan dzwoni...

Zadzwoił. Nastąpiło oczekiwanie, wykorzystaliśmy tę chwilę wolnego czasu na interesującą konwersację:

- Do lasu nie wolno wjeżdżać, tam jest znak!
- ...
- Czy pan w ogóle wie, co to jest las?
- ???
- LAS TO JEST ZAKŁAD (Myślałem, że spadnę z mostu).
- A ja myślałem, że las to ekosystem...

Wówczas na twarzy mego rozmówcy pojawił się osobliwy wyraz zdziwienia i rozsierdzenia, jakbym wypowiedział słowo w nieznanym języku, a jednocześnie bluźniercze i zakazane. W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że jeśli nasz towarzysz nie chce się przedstawić, nie musimy z nim rozmawiać, gdyż nie wiemy, z kim mamy do czynienia, a że nie chciał, wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy z „miejsca zdarzenia”.

Okazało się, że ów przedstawiciel firmy państwowej nie dał tak łatwo za wygrano i w wozie policyjnym tropił nas w Białowieży. I udało mu się! W momencie, kiedy z gospodynią kwatery i jej dziećmi jedliśmy późne śniadanie, na podwórko przed ich domem wjechał radiowóz z naszym znajomym na tylnym siedzeniu.

Teraz z kolei nasz bohater był wyraźnie z siebie zadowolony, oczekiwał na surową karę, jakiej udzieli wymiar sprawiedliwości leśnym złoczyńcom. Panowie policjanci poprosili mnie do samochodu, usiadłem obok kolegi w zielonym, a ten tłumaczył:

- Jak ktoś wchodzi na czyjś podwórek...

- Podwórko.

- Yyy... jak ktoś wchodzi na czyjś podwórek...

- Ja myślałem, że do lasu każdy może wejść.

- Nie każdy! Nie każdy! - wrzeszczał.

To już było żenujące, policjanci pojęli chyba sytuację, udzielili mi formalnego pouczenia i odwieźli naszego znajomego na jego „podwórek” w lasy ostatniego nizinnego lasu o charakterze pierwotnym - Puszczy Białowieskiej. Następnego dnia wracaliśmy do Wrocławia.

Wojciech Lewandowski